

bohaterów „Zgręda”. Podobieństwa do nich znajdują we wspomnieniach cudzych – na przykład w bardzo ciekawym filmie „Żona Oficera” amerykańskiego reżysera Piotra Uzarowicza, o odkrywaniu swego pochodzenia i historii poprzednich pokoleń.

W filmie Uzarowicza, mówiąc najkrócej, mężczyźni giną na Wschodzie; pozostają kobiety, które ratują młode pokolenie przed wynarodowieniem. Żony zaginionych zesłańców. Katyńskie wdowy. I, co właśnie wydaje mi się najciekawsze: córki poległych, które żenią się z – mówiąc obrazowo – potomkami pańszczyźnianych, i siłą rzeczy podciągają ich do poziomu spalonego już dworku i ich samych, i wspólne potomstwo.

Sądzę, że tu właśnie tkwi tajemnica tej dziwnej odporności, którą okazują Polacy na wieloletnie próby ich odpolszczenia i wynarodowienia. Tajemnica w dziwny sposób niezauważana przez polską patriotyczną tradycję, która „matkom” i żonom przyznaje miejsce wyłącznie przy „wyszywaniu na sztandarach hasel Honor i Ojczyzna”, jak głosi to sławna pieśń Jana Pietrzaka.

Bardzo czekam na książkę albo może film, który dogłębnie zbadaby tę sprawę. Do jakiego stopnia kobieta ustawiona jest w centrum polskiej kultury nie jako, jak gdzie indziej, zaplecze dla wojownika i jego odpożyczek, ale jako osoba przekazująca dziedzictwo pokoleń, ocalająca je i odradzająca. I do jakiego stopnia odwzorowaniem tej polskiej szczególnej odmienności jest nasz katolicyzm, w którym wszak pierwiastek matczyny przedłożony został ponad pierwiastek ojcowski. W czym, skądinąd, upatrywać należy przyczyny wielu problemów i polskiej religijności, i polskości jako takiej, ale to jeszcze inny temat.

Feminizm był i jest odpowiedzią na obiektywną, cywilizacyjną zmianę – emancypacja kobiet dokonała się nie dlatego, że ktoś rzucił takie hasło i wywalczył jego realizację, ale dlatego, że kobiety zmuszone zostały do pracy i samodzielności przez postęp techniczny i wojny, do czego trzeba było dorobić jakąś ideologię. W krajach zachodnich, gdzie miejsce kobiety w społeczeństwie i kulturze było zupełnie inne niż w Polsce, dało to w efekcie idee, których próby przeszczepiania do Polski dają efekty groteskowe.

Co mają do roboty bojowniczkę wyresowane ideologicznie do walki z patriachatem w kraju, w którym od pokoleń panuje kulturowy matriarchat? Poza zadymaną, manią i małpowaniem pomysłów z zupełnie innej bajki naprawdę niewiele. Widać to nie tylko w miłośności sprawowania spraw kobiet do hasel tak wątpliwych jak fasadowe parytety. Widać to także w znacznie ważniejszych kwestiach kulturowych, gdzie nawet w najlepszych literacko realizacjach – jak na przykład u bardzo przeciętnej talentowanej Olgi Tokarczuk – nie udało się artystkom uwolnić od wtórności, od lepiej czy gorzej odbieranego wypracowania na zadany przez innych temat.

Bardzo ciekawe, kiedy w i jakiej formie działanie impulsów analogicznych do tych, które stworzyły feminizm w jego zachodnim wydaniu, objawia swe działanie w Polsce. Jednego jestem pewien – że skutki tego działania będą tak niepodobne do tego, co głoszą „zawodowe kobiety” w naszej polityce i mediach, jak niepodobne są wspomniane już Rodziny Radia Maryja do towarzysztwa z manif. ■

Swoje „Philosophiae Naturalis Principia Mathematica” Newton wydał w 1687 roku. Teraz mamy rok 2011 i pierwszy przekład polski. Trochę długo nam się zeszło.

Rzeczywiście, sam się dziwię, że tak długo to trwało, zanim polska kultura zdobyła się na przekład tego dzieła, fundamentalnego dla naszej cywilizacji. Kilka lat temu w Petersburgu oglądałem rosyjski przekład Newtona autorstwa profesora szkoły morskiej Aleksieja Kryłowa i czułem się wręcz zakompleksiony.

Ale nawet w Rosji ten przekład był stosunkowo późny, bo pochodzi z 1915 roku. Do dziś tłumaczenia „Principiów” na języki obce są bardzo nieliczne. Dlaczego?

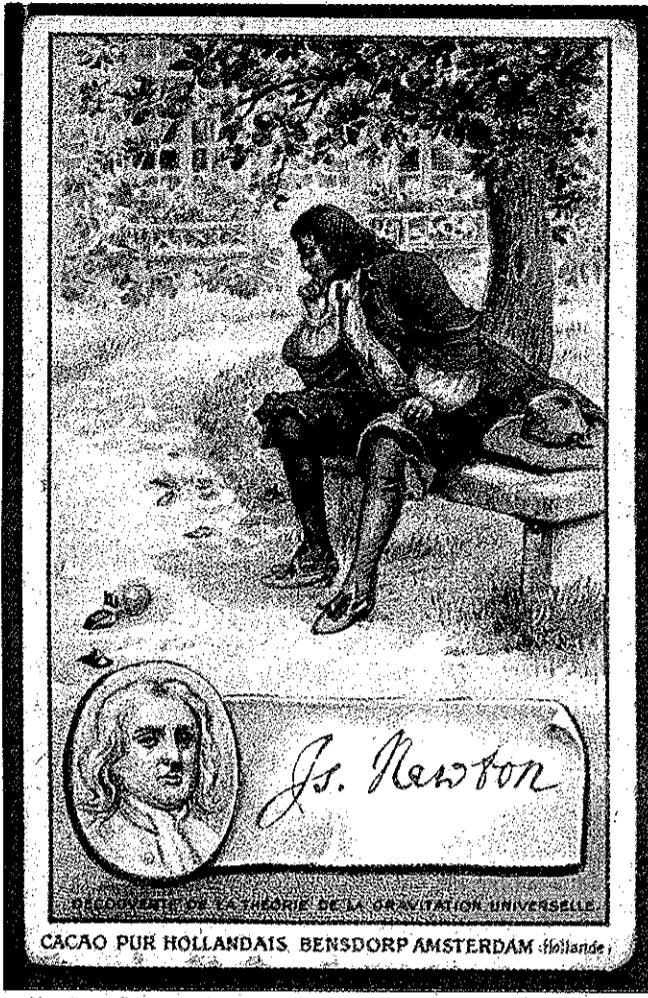
Z kilku powodów. Po pierwsze, jest to dzieło bardzo trudne do zrozumienia dla kogoś, kto nie jest specjalistą. W czasach Newtona może trzy – cztery osoby na świecie były w stanie w pełni pojąć, co on napisał. Dziś ludzi, którzy rozumieją tę książkę, jest trochę więcej, ale nie tak znowu dużo. Po drugie, specjaliści, którzy to dzieło potrzebne jest zawodowo, są w stanie przeczytać je w oryginale. Nawiasem mówiąc, pojęcie oryginału jest w tym wypadku dwuznaczne: Newton napisał je po łacinie, bo wówczas angielski nie był jeszcze łaciną, tak jak dziś. Szybko dzieło zostało przetłumaczone na angielski i ten przekład uznawany jest za równoważny z oryginałem. Nasz tłumacz, pan Jarosław Wawrzycki, przekładał z angielskiego, odwołując się również do tekstu łacińskiego. Zresztą Newton poprawiał swoje dzieło, zwykle tłumacze odwołują się do drugiego wydania.

Ale po co to jest w ogóle? Ta książka ma kilkaset stron z tabelkami, wyczeniami, szkicami, których przeciętny człowiek nie zrozumie, żeby nie wiem, jak się napiął. Nie oszukujmy się – prawie nikt jej nie przeczyta.

Nie szkodzi. To jest jedno z najważniejszych wytworów myśli ludzkiej w historii. Gdyby nie Newton, człowiek żyłby bez zrozumienia świata. Pomijam kwestię, że gdyby nie Newton, to pewnie ktoś inny, może grupa ludzi, odkryłby prawa i zasady funkcjonowania świata, o których on pisze. W rozwoju nauki działa pewna logika, która wykracza poza poszczególne umysły. Ale faktem jest, że bez Newtona po prostu nie byłoby dzisiejszej fizyki. Tylko mnie nie chodzi tutaj o techniczne zastosowania odkryć Newtona, które wszędzie nas otaczają i które przyjmujemy za oczywiste, nawet kompletnie nie rozumiejąc ich teoretycznej budowy. Bardziej istotna jest zasługa Newtona dla naszego myślenia i rozumienia sposobu, w jaki funkcjonuje świat. Człowiek jest zwierzęciem rozumnym, a gdyby nie rozumiał świata, pozostałoby mu tylko zwierzęcość.

Co to znaczy „rozumienie świata”? Chodzi o skuteczne dociekanie prawd dotyczących fizycznego istnienia rzeczywistości?

Między innymi, ale nie tylko. Na przykład nie wyobrażam sobie, żeby można było podjąć dziś sensowną refleksję filozoficzną bez



■ Newton odkrywa prawo grawitacji. Reklama czekolady, początek XX w.

Jesteśmy z prochu Wszechświata

Z ks. prof. MICHAŁEM HELLEREM rozmawia Dariusz Rosiak

rozumienia przynajmniej elementów współczesnej fizyki. Można mieć jakieś metaforyczne rozumienie świata, poetyckie – co też bywa wartościowe – ale to nie będzie poważną refleksją nad istotą rzeczy. Newton nazwał swoje dzieło „Matematycznymi zasadami filozofii przyrody”. Dla niego to, co robił, ciągle należało do sfery filozofii.

Newton był fizykiem, matematykiem, filozofem, a po jego śmierci, gdy przeszukano jego rzeczy, okazało się, że napisał w życiu więcej komentarzy na temat Biblii niż komentarzy naukowych. Jak on sam widział swoją rolę? Jako człowieka, który objaśnia naturę stworzenia?

Newton był bardzo gorliwym chrześcijaninem, w poglądach zbliżonym do arianizmu. To zresztą zabawne, całe życie związany był z Trinity College, choć nie uznawał Trójcy Świętej. On sam uważał się bardziej za teologa niż filozofa przyrody. Zasadniczą intencją było wyjaśnienie natury stworzenia. Ale też co innego jest ważne: również nasze rozumienie stworzenia bardzo ściśle nawiązuje do Newtona. Każda kultura ma własny obraz świata, nasz obraz świata – nie mówię tu o obrazie specjalistycznym, ale takim, który ma każdy zwykły przedstawiciel europejskiej cywilizacji – jest newtonowski. Często Albert Einstein występuje w roli gwiazdy popkultury – znamy jego zdjęcia,

wypowiedzi itd. Ale Einstein jeszcze nie dotarł do mas, natomiast można chyba powiedzieć, że postrzegamy świat po newtonowsku.

To znaczy?

W filozoficznej warstwie „Principiów” Newton twierdził, że przestrzeń i czas są absolutne, to znaczy przestrzeń jest pojemnikiem, w którym wszystko się dzieje, ale sam pojemnik nie wpływa na to, co się dzieje. Podobnie czas: to jest trwanie, które rozciąga się od minus nieskończoności do plus nieskończoności, ale sam czas na nic nie wpływa. To była wielka zmiana w porównaniu z myśleniem średniowiecznym. Dla ludzi z tamtych czasów pojęcie nieskończoności czasu nie istniało, czas był zamknięty, tak jak cykl roczny z powtarzającymi się porami roku. Podobnie przestrzeń nie była nieskończona – świat był zamknięty sferą gwiazd stałych i poza nią nie było nic, nawet przestrzeni. Newton rozumiał czas i przestrzeń jako byty absolutne i wiązał to ze swoją teologią. Uważał, że przestrzeń jest organem bożej wszechobecności, a czas organem bożej wieczności. Uważał, że przed stworzeniem istniały pusta przestrzeń i pusty czas i w pewnym momencie Pan Bóg powołał świat do bytu w tej absolutnej przestrzeni. I takie właśnie jest nasze dzisiejsze wyobrażenie: jeśli kogoś spytać, jak sobie wyobraża powstanie świata, to pewnie powie: „nie było nic, a potem nagle coś zaistniało”. I to jest zasługa Newtona. W średniowieczu myślano, że przed początkiem nie było czasu, czas powstał w momencie stworzenia. I właśnie ten Newtonowski obraz świata przeniknął do naszych umysłów, przeniknął również do naszych katechizmów.

A czy sam Newton odwoływał się w swoich badaniach do Boga?

Newton uważał, że opisany przez niego system świata ilustruje wszechmoc Bożą. Opowie o pewnym elemencie jego myślenia. We wszechświecie Newtona planety krążą wokół Słońca wskutek grawitacji. Jednak od czasu do czasu w ich sąsiedztwie pojawiają się komety, które przybywają w okolicy Słońca z dalszych obszarów – za czasów Newtona pojawiło się kilka takich komet, m.in. słynna kometa Halleya. Newton latwo wyliczył, że te komety powodują zaburzenia pola grawitacyjnego, co powodowałoby zaburzenie całej struktury układu planetarnego, tymczasem struktura ta jest stabilna. Z tego Newton wyciągał wniosek, że to Pan Bóg od czasu do czasu wprowadza poprawki do swego dzieła, i uważał, że te poprawki to jest dowód na istnienie Boga. Zresztą Leibniz zarzucał mu, że to jest koncepcja ateistyczna, bo zakłada, że Pan Bóg byłby niedoskonały i musiałby poprawiać swoje niedoróbki.

Newton widział też ślady interwencji Bożej w warunkach początkowych. Uważał, że po to, by ten skomplikowany system planet mógł działać, Pan Bóg musiał zadać bardzo specyficzne, dobrze zsynchronizowane warunki początkowe dla praw mechaniki, musiał nadać im pierwszy impuls, bo inaczej system by nie zadziałał.

dokończenie ➤P6

Jesteśmy z prochu Wszechświata

dokończenie >P5

Czyli dla Newtona Bóg był od początku świata i ciągle jest obecny, by wprowadzać poprawki, gdy coś nie gra. To bardzo religijna postawa. Niektórzy ludzie do dziś wierzą, że Bóg fak działa.

Newton był niezmiernie religijny, był rygorystą, purytaninem. Znana jest historia, gdy ktoś w jego towarzystwie opowiedział sprośny dowcip o zakonicy - Newton zerwał z nim znajomość i nie odezwał się do niego do końca życia. Oczywiście postęp nauki wykazał, że Newton nie miał racji, że planety same synchronizują swój zaburzony ruch po orbicie i żadne poprawki nie są potrzebne (przynajmniej w wystarczająco długiej skali czasowej). To zresztą dlatego Laplace miał odpowiedzieć Newtonowi: hipoteza Boga nie jest mi do niczego potrzebna. Zresztą hipoteza Boga jako „zapychacza dziur” (God of the gaps) niemile widziana jest również we współczesnej teologii.

Czyli w tym miejscu historia nauki nie przyniosła Newtonowi racji. A księdzu nie jest bliższy obraz Boga, który co chwila włącza się w dzieło stworzenia?

Żaden rozsądny teolog nie będzie bronił akurat tego stanowiska Newtona. Jednak, jak chciał Leibniz, świat jest skonstruowany w taki misterny sposób, że nie potrzebuje tego typu interwencji. Leibniz mówił: lepszym zegarmistrzem jest ten, kto robi zegarek, który sam się nakręca, niż taki, który trzeba co jakiś czas poprawiać. Ale sądzę, że Pan Bóg, owszem, uczestniczy w dziele stworzenia, tylko że to uczestnictwo nie polega na dokonywaniu poprawek świata, ale na immanencji w procesie ewolucji. To zresztą nie dzieje się za pomocą jakichś nadzwyczajnych interwencji czy zapychaniu dziur. Einstein mówił, że w przyrodzie obecny jest „Mind of God” (zamyśl Boga), coś, co tkwi w naturze świata i ciągle jej towarzyszy.

Czyli np. Bóg jest matematyką?

Można tak powiedzieć.

Ale my na lekcjach religii jesteśmy uczeni, że Bóg jest wszechmocny, że panuje nad wszystkim, zarówno nad ewolucją, jak i matematyką. Czy Pan Bóg może sprawić, żeby ewolucja się cofnęła albo żeby dwa plus dwa było pięć?

Nie ma tak naiwnego pytania, które my sobie tutaj wymyślimy, a które przez filozofów i teologów nie było walkowane na różne sposoby. Już w średniowieczu pytano, czy Pan Bóg może zmienić wyniki w tabliczce mnożenia. Tradycyjni tomiści i arystotelicy mówili, że nie. Bo Pan Bóg nie może zaprzeczać sobie samemu, nie może obalać praw racjonalności. Ale np. Kartezjusz uważał, że Pan Bóg może robić wszystko, nawet twierdzące logice. Tzw. woluntaryści twierdzili, że Bóg może nawet zmienić przeszłość. Złośliwi mówią, że Pan

Bóg nie może zmienić przeszłości i właśnie dlatego stworzył historyków.

Mówimy o Newtonie, który był pobożnym, choć nieortodoksyjnym anglikaninem. W jego czasach i wcześniej jeszcze wielu ludzi Kościoła było blisko odkrywaniu prawdy o Wszechświecie. Kiedy drogi Kościoła, czy szerzej religii, i nauk zaczęły się rozchodzić?

Te drogi zaczęły się rozchodzić jeszcze przed Newtonem. Najbardziej wyraźnym objawem kryzysu była sprawa Galileusza. Mechanizm był stosunkowo prosty: w średniowieczu Kościół był jedynym mecenasem nauki, na palcach można policzyć uczonych, którzy nie byli duchownymi. Od czasu Kopernika, Galileusza, Keplera, potem właśnie Newtona nauka powstawała i była uprawiana poza sferą kontroli Kościoła. To nie znaczy, że ci ludzie nie wierzyli w Boga, oni wszyscy byli bardzo religijni, ale nie byli duchownymi. Co ważniejsze, tworzyli obraz świata konkurencyjny wobec obrazu średniowiecznego. Od tego czasu do dziś istnieją dwie nitki szkolnictwa naukowego i uprawiania nauki: kościelna i świecka.

Popularne jest dziś przekonanie, że fa nitka kościelna jest skazana na śmierć. Inni uważają, że możliwe jest utrzymanie równoległe tych dwóch nurtów: badań świata, w ramach których przyjmuje się obecność Boga, i takich, w których Bóg nie jest do niczego potrzebny.

Moim zdaniem nie należy utrzymywać dwóch nurtów, one powinny się do siebie zbliżyć. Powinna być jedna filozofia nauki i moim zdaniem ten proces jest jeszcze przed nami.

Ale z pewnością zauważa ksiądz nurek bardzo agresywnego obecnie przeciwstawiania nauki i religii, próby zderzenia obu tych sfer tak, by pojęcie Boga w ogóle przestało być obecne w próbach rozumienia i opisu świata.

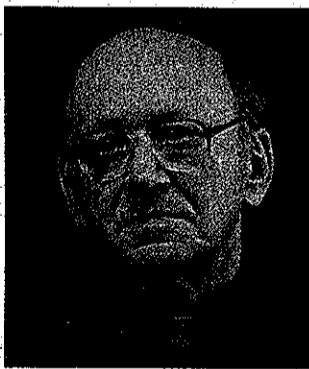
Zauważam, ale te próby nie są większe w porównaniu z agresją wobec religii, jaka panowała np. w czasie francuskiego oświecenia. Niektórzy ekscytują się i obrażają na Richarda Dawkinsa, Daniela Dennetta i innych tego typu autorów. Owszem, są to ludzie bardzo popularni w mediach, ale trzeba pamiętać, że naukowcy w dużej części się od ich publikacji dystansują. Niewielu poważnych badaczy popiera Dawkinsa czy np. ostatnie popularne prace Stephena Hawkinga. Co więcej, w ostatnich latach zauważam wzrost zainteresowania religią w świecie nauki. 30 lat temu, gdy w nauce panował pozytywizm, nikt wprost nie zwalczał religii, bo w ogóle religią nie wypadało się zajmować. Dziś religię się atakuje, bo budzi zainteresowanie, być może więc te ataki i próby laicyzacji nauki to nie jest zły objaw. Kiedyś jeden z fizyków powiedział mi: jeśli chcesz napisać książkę, która się dobrze sprzeda, to umieść w tytule Pana Boga. Sukces mrowiany.

Czy rozejście się światów nauki i religii nie jest w sporej części winą Kościoła? Dlaczego ciągle niektórzy ludzie w Kościele kwestionują np. teorię ewolucji? Mówią, że skoro to teoria, to znaczy, że nie jest udo- wodniona.

Oczywiście, że jest w tym także wina Kościoła. Kościół często nie nadaje. Jeśli ktoś dziś kwestionuje teorię ewolucji, bo jest teoria, to znaczy, że nie rozumie metodologii naukowej. Teoria w nauce nie oznacza rzeczy niedowiedzianej, czegoś mniejszego od faktu. Teoria to logiczna konstrukcja, w której skład wchodzi wiele faktów, praw, procedur badawczych i weryfikacyjnych. Budowanie teorii jest celem. Stworzenie teorii jest ambicją naukowców. Fizyka ma takich teorii wiele: teorię kwantów, teorię względności, teorię Newtona. Biologia do niedawna miała tylko teorię ewolucji, teraz jeszcze są genetyka, biologia molekularna... Nie ma nic bardziej nobilitującego w nauce niż stworzenie teorii i jeśli ktoś podważa teorię ewolucji, to znaczy tylko tyle, że jest, powiedzmy, słabo poinformowany. Kwestionowanie teorii ewolucji jest nonsensem z naukowego punktu widzenia. Nie ma dla niej konkurencji w dziedzinie opisu procesu życia na świecie. A jeśli ktoś kwestionuje ją z punktu widzenia religii katolickiej, to znaczy, że nie zna dokumentów papieskich albo je ignoruje.

Dla mnie osobiście ewolucja jest pięknym, fascynującym procesem, zresztą ewolucja biologiczna jest tylko małym włókniem ewolucji kosmicznej. Pierwsze pierwiastki chemiczne - hel i wodór - powstały w pierwszych dwóch - trzech minutach po Wielkim Wybuchu, potem inne pierwiastki powstawały w reakcjach jądrowych we wnętrzach gwiazd. Aby powstał węgiel, potrzebne są trzy, cztery pokolenia gwiazd. Atomy węgla, z których zbudowane jest nasze ciało, wchodziły w skład kilku gwiazd. Czyli korzenie naszej ewolucji sięgają bardzo, bardzo głęboko, a jeśli lubimy biblijny język, to możemy powiedzieć, że jesteśmy z prochu Wszechświata. Czy można sobie wyobrazić piękniejsze pochodzenie? ■

„Philosophiae Naturalis Principia Mathematica” Isaaca Newtona została po raz pierwszy przetłumaczona na polski i wydana przez Wyższą Szkołę Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie i Fundację Centrum Kopernika. Dzielno pod polskim tytułem „Matematyczne zasady filozofii przyrody” przetłumaczył, zredagował, opatrzył komentarzami dr Jarosław Wawrzyński, fizyk z Instytutu Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego PAN w Krakowie. Edycji patronuje i wstęp napisał prof. Michał Heller



KS. MICHAŁ HELLER

światowej sławy kosmolog, autor wielu książek i publikacji naukowych, laureat Nagrody Templetona

Jakby się zachował, gdyby spotkał na ulicy zabójcę swojej córki? Idąc przez centrum Białegostoku Jerzy Krupowicz zadaje sobie niekiedy to pytanie

Podszedł do mnie znajomy i powiedział, że widział wczoraj Macieja T. w pubie na Rynku Kościuszki. Ludzie opowiadają mi czasem o podobnych sytuacjach z mieszaniną współczucia i oburzenia. Relacjonują, że Maciej T. oglądał przy piwie mecz z kolegami lub uśmiechnięty spacerował po mieście - mówi Krupowicz. - I co mam im odpowiedzieć?

Historia, która wydarzyła się w Białymstoku, jest dziwna z każdego punktu widzenia. To mroczna opowieść o zabójstwie młodej pięknej kobiety dokonany przez człowieka, który z definicji powinien stać na straży prawa, a na sali sądowej znajdować się w zupełnie innym miejscu niż ława oskarżonych.

Adwokat zabił swoją aplikantkę - to brzmi szokująco. Ale ta mroczna opowieść ma jeszcze drugie dno - zabójca, który się przyznał, że udusił dziewczynę, odpowiada z wolnej stopy. - Kiedy usłyszałem, że sąd apelacyjny uznał, iż Maciej T. ma wyjść z aresztu, nie uwierzyłem. Jechałem wtedy autem, mój przełożony zadzwonił z tą informacją. Myślałem, że robi mi dowcip - mówi prokurator Józef Murawko. - Dojechałem do prokuratury, zobaczyłem faks z sądu. Zamurowało mnie.

Jest doświadczonym śledczym, oskarżał w wielu sprawach o zabójstwo, to dla niego zawodowa rutyna. Ta sprawa odbiega od schematu w sposób, który go niepokoi. - Zaprzeczono samej idei procesu karnego. To właśnie proces ma rozstrzygnąć o winie oskarżonego. Muszą przemówić biegli, trzeba zanalizować dowody. Tymczasem sąd apelacyjny zachował się jak sąd kapturowy: właściwie już zdecydował, co stało się w mieszkaniu Marty Krupowicz. Wypuszczając Macieja T. z aresztu, uwierzył oskarżonemu, że śmierć kobiety jest czymś w rodzaju nieszczęśliwego wypadku, tak wynika z uzasadnienia decyzji - mówi prokurator Murawko. - Dlaczego tak się stało? Wolalbym nie spekulować.

On uważa, że młoda kobieta nie zginęła przypadkowo i tej tezy będzie bronić. Nie chce komentować krążących pogłosek, że Marta zginęła podczas podczas sadystycznej zabawy seksualnej. Parafilia, jak określa się teraz zachowania nazywane dawniej dewiacją seksualną, to oczywiście jeden z możliwych powodów uduszenia przez 36-letniego adwokata swojej partnerki. Jednak nie można przeczyć wykluczyć, że Maciej T. świadomie chciał zabić Martę z innych powodów, a przynajmniej się na to godził.

Czy decyzja sądu apelacyjnego i zawarta w niej sugestia dotycząca interpretacji zachowania oskarżonego wpłynęła na sąd, przed którym toczy się proces? - Nie chcę o tym nawet myśleć - mówi prokurator. - Ja

muszę wierzyć, że sprawiedliwość jest jedna i ślepa. Taka sama dla człowieka w gumofilcach, który siekiera zarabiał sąsiada i zostaje skazany już na pierwszym posiedzeniu. I dla eleganckiego, elokwentnego i mającego koneksje mecenasa, który potrafi zrobić dobre wrażenie. Muszę w to wierzyć, bo inaczej zwątpiłbym w wymiar sprawiedliwości i powinienem rzucić zawód.

Zdjęcia z kostnicy

Pendrive Jerzego Krupowicza zawiera ostatnie zdjęcia córki. Przechowuje je także w szufladzie obok zbieranych przez lata laurów. Sfotografował ją w kostnicy. Posiniaczona, zmasakrowana twarz dziewczyny wygląda jak po walce bokserkiej wagi ciężkiej.

Kiedy właściciel zakładu pogrzebowego spytał go, czy zamknąć trumnę, czy też reszta rodziny ma zobaczyć Martę, Krupowicz zdecydował, że oszczędzi im tego widoku.

Po raz ostatni żywą Martę widział kilka godzin przed jej śmiercią. Przyszła do swych rodziców razem z Maciejem T., ta wyżyta miała chyba przełamać pewien chłód, jaki czuli państwo Krupowiczowie wobec partnera córki. Maciej T. wydawał się partnerem idealnym dla ambitnej 31-letniej prawniczki z doktoratem - świetnie sytuowany adwokat ze znanej prawniczej rodziny. Skaza na tym wizerunku była jednak jego reputacja mężczyzny, który, mówiąc ogólnie, nie jest stały w swych związkach.

Pożegnali się wieczorem. Kilka godzin później do drzwi rodziców Marty zapukali dwaj policjanci. Zapamiętał, że byli zdenerwowani, jednemu trzęsły się ręce. Upewniali się, czy na pewno rozmawiają z rodzicami Marty. - Pojechalśmy do mieszkania córki. Jej ciała już tam nie było. Patrząc na połamaną kanapę, poprzesuwane meble i zruconą doniczkę, pomyślałem, że rozegrała się tu zacięta walka. Wszedłem do łazienki. Uderzyło mnie, że nie ma żadnych rękawiczek - mówi Jerzy Krupowicz. - Tak jakby ktoś użył ich na przykład do wytarcia śladów krwi i wyrzucił. Zwróciłem na to uwagę policjantom.

Gdyby przeszukano wówczas okoliczne śmietniki, rękawiczki mogłyby się znaleźć. Podobnie jak bluzka, którą miała na sobie Marta tego fatalnego wieczoru, a która też zniknęła.

Co się naprawdę stało, zanim na telefon alarmowy zadzwonił pijany Maciej T. i powiedział „mam w mieszkaniu martwą kobietę” - tak jakby z nieznanymi mu przyczyn znalazło się tam ciało jakiejś nieznanjomej?

Na brzegu popielniczki był oparty niedopałony papieros. Moja córka była nalogową palaczką, trudno mi wyobrazić sobie, że w normalnych okolicznościach zacięgnęła się i odłożyła papierosa, by więcej do niego nie wrócić. Myślę, że nagle doszło do gwałtownej sprzeczki - mówi Krupowicz. - Marta musiała coś powiedzieć lub zrobić, co zadziało jak detonator.

Tysiące razy analizował prawdopodobny scenariusz wydarzeń. Może Marta sięgnęła po telefon, by zadzwonić do konkubiny Macieja T., który lawirował między dwiema kobietami, co coraz bardziej denerwowało Martę. A może jego córka po-